

nistyczna jest wszystkim, tylko nie problematyzacją świata. Jej reprezentantów cechuje samozadowolenie. Nie ma mowy, pisze Morawski, „o żadnej kontestacji, żadnych wyzwaniach, żadnym poczuciu odpowiedzialności”¹³ za świat i człowieka. Problemy takie są dla postmodernistów naiwne i śmieszne. Nic więc dziwnego, że artyści kultywujący etos awangardy, czują się jak w oblężonej twierdzy. Czasy są dla nich niedobre. Jednak wspólne odczucie zagrożenia zbliża filozofów i przedstawicieli awangardy. Łączy ich wierność wobec ideałów. Wierność tę Stefan Morawski wysoko ceni i, jak pisze, w niej pokłada nadzieję na rzecz najcenniejszą – „wybronienie się przed tą falą, której nie wolno przyjąć jako czegoś fatalnego, co nieuniknienie zatopi te wartości – jakże cenne, które charakteryzowałem jako przynależne do formacji awangardowej”¹⁴.

Grzegorz Hansen W kuchni kontrkultury

Moje spotkanie z Profesorem Stefanem Morawskim miało miejsce stosunkowo późno, bo w drugiej połowie 1980 r. Byłem wówczas studentem przedostatniego roku filozofii na Uniwersytecie Warszawskim. Profesor Morawski prowadził w tym czasie seminaria dotyczące późnej filozofii Leszka Kołakowskiego oraz zjawiska postmodernizmu. Tak się to drugie seminarium podówczas nazywało, choć dziś – idąc za Zygmuntem Baumanem, a wbrew Profesorowi Morawskiemu – określiłbym je jako seminarium, poruszające rozmaite wątki kultury ponowoczesnej.

Pomimo mojego dużego zaangażowania emocjonalnego w te spotkania, za ucznia, czy choćby za osobę pozostającą pod dużym wpływem Profesora Morawskiego, z pewnością uchodzić nie mogę. Do spotkania z Profesorem skłoniło mnie to, co na ogół skłania filozofa do spotkania z innymi filozofami: pokrewieństwo zainteresowań i chęć konfrontacji własnego punktu widzenia z tymi, którzy mają na dany temat coś interesującego (niekoniecznie prawdziwego lub słusznego) do powiedzenia. Nie dostrzegam wszakże nic złego w tym, że nie jestem skłonny do tego, by przyznać się do bycia uczniem Profesora. Książki Profesora Morawskiego, choćby nawet nie znalazł on ani jednego ucznia, czy kontynuatora, wpisane zostały na stałe do kanonu nie tylko polskiej literatury filozoficznej.

¹³ S. Morawski: *Artyści awangardy w okresie postmodernizmu*. „Exit. Nowa sztuka w Polsce” 1993, nr 4, s. 654.

¹⁴ Tamże.

Być może właśnie dlatego moje spotkanie z Profesorem nie było przelotne, bo ja sam nie nadawałem się na ucznia. Jako dwudziestoparoletni absolwent uczelni technicznej byłem już zbyt dojrzały, by nie odróżniać porządnej, profesjonalnej filozofii od wypowiedzianych *ex cathedra* prywatnych poglądów rozmaitych utytułowanych i sławnych mądrali. Seminarium Profesora Morawskiego miały to do siebie, że każdy, kto przekroczył pewien pułap wiedzy i filozoficznej orientacji, oraz kto legitymował się pewną (raczej nabytą niż tylko wrodzoną) inteligencją, mógł na nich dyskutować i wygłaszać opinie na równi z innymi uczestnikami dyskusji. Nie było przywilejów gospodarza ani też dyskryminacji gości. Na seminariach Profesora Morawskiego nie było śladu tego żenującego, a wciąż obecnego na polskich wyższych uczelniach feudalizmu (stanowiącego między innymi kompensację degradacji społecznej, ekonomicznej i prestiżowej wyższej kadry naukowej) w traktowaniu studentów, czy asystentów. Seminarium Profesora Morawskiego były seminariami filozoficznymi *sensu stricto*. Podobało mi się w nich to właśnie, że z prowadzącym seminarium można się było nie zgadzać, można było stanowczo odmawiać uznania jego argumentów, oraz to, że własne stanowisko trzeba było w takiej sytuacji bardzo dobrze uzasadnić. Nie znaczy to, że tolerancja na seminariach tych nie miała swoich granic. Tyle, że były to granice właściwe: nie było tolerancji dla ignorantów i dla osób, które wypowiadały z pełnym przekonaniem poglądy, których nie były w stanie uzasadniać lub bronić. W tej nietolerancji nie celował zresztą sam Profesor. Inni uczestnicy tych seminariów nie widzieli wcale powodu do słuchania bzdur, których Profesor byłby nawet w stanie – w swojej łagodności – spokojnie wysłuchać.

Taka atmosfera mi wówczas (podobnie jak dzisiaj) bardzo odpowiadała. Jeśli dodamy do tego fakt braku skrępowania dyskusji przez jakieś wąskie zagadnienie lub dziedzinę, oraz przysłowiowe wręcz odczytanie Profesora Morawskiego w bardzo szerokim spektrum literatury nie tylko filozoficznej, to otrzymamy spełnienie podstawowych warunków dla prowadzenia owocnych dialogów filozoficznych. To mnie do uczestnictwa w tych seminariach skłoniło i to sprawiło, że do dziś nieźle je pamiętam.

Sylwetka Profesora Stefana Morawskiego kojarzy mi się z wyobrażeniem, które urobiłem sobie na podstawie pewnej anegdoty, opowiadanej przez samego Profesora. Anegdota ta dotyczy szczególnie barwnego epizodu w jego życiu. Konserwatywny awangardzista sprawował przez jakiś czas funkcję kucharza w komunie amerykańskich *hippies*. Ponieważ nie znałem Profesora przed 1985 rokiem, a jakoś trudno było mi – chudego, wysokiego, spoglądającego spoza grubych okularów, ubranego zawsze w garnitur, typowego akademika – wyobrazić sobie z długimi włosami, w rozszerzanych spodniach i z kwiatem zatknętym za uchem. Urobiłem sobie więc wizję Profesora takiego, jakim go znałem z seminariów na Uniwersytecie Warszawskim (w okularach,

garniturze etc.) przepasanego w pasie fartuchem i mieszającego pieczołowicie na patelni jakąś potrawkę dla zgłodniałych, przechadzających się wokół *hippies*.

Podejrzewam, że dla tych, którzy profesora znają, moja (niezamierzona) wizja okaże się bardziej smakowita niż sama anegdota, albowiem – jak sądzę – bardzo dobrze oddaje ona zarówno intelektualną, jak i – w przypadku Stefana Morawskiego zapewne nieoddzielną od intelektualnej – prywatną sylwetkę Profesora. Gdybyśmy chcieli tę wizję odczytać na sposób typowy dla dekonstrukcjonistycznego stylu Derridy, czy kabalistycznego czytania właściwego Leo Straussowi – co pozwolę sobie ze złośliwą satysfakcją (złośliwą względem notorycznych nadinterpretacji Derridy i Straussa, nie zaś względem Profesora Morawskiego) uczynić – uzyskalibyśmy kilka ciekawych spostrzeżeń, celnie charakteryzujących zarówno sylwetkę, jak i rolę Profesora Stefana Morawskiego.

Po pierwsze, będąc członkiem komuny *hippies*, Profesor Morawski należy do nurtu zwolenników kontrkultury, naiwnych (nie posiadających konkretnych i mających szansę na realizację propozycji alternatywnych) krytyków kultury zachodniej, „konsumpcjonistycznego kapitalizmu” (używając takich marksistowsko-hippiesowskich haseł-sloganów abstrahując całkowicie od tego, czy mają one *jakiegokolwiek* znaczenie lub realne desygnaty) etc. *Hippiesi* to – z pewnością jedni z tych, którzy słusznie podpadają pod Marksowską tezę-dyrektywę o zmienianiu świata, zamiast jego opisywania. (Nie wolno przy tym zapominać, że dokonanie takiej zmiany stanowić miało zarazem: *realizację* filozofii pojętej jako „kreowanie moralnego sprzeciwu – konstruowanie utopii – uskutecznianie rewolucji”, jak i *uśmiercenie* filozofii, polegającej na opisywaniu i próbie rozumienia świata takiego, jakim jest). Jednak *hippies* – to zarazem (najczęściej nieświadomi tego faktu) sfrustrowani, naiwni, znudzeni dobrobytem, nie umiejący robić prawdziwie dużych pieniędzy, zwykli Amerykanie. Pomiedzy nimi (nawet wykrzykującymi z entuzjazmem imię Przewodniczącego Mao, a wymachującymi czerwonymi książeczkami, maoistowskimi Czerwonymi Gwardzistami) istnieje fundamentalna różnica: różnica pomiędzy teorią a praktyką.

Będąc członkiem komuny hippiesowskich buntowników, Profesor pełnił zarazem funkcję pomocniczą: nie występował nigdy w pierwszej linii zwalczania świata „bezmyślnych, nastawionych wyłącznie na konsumpcję burżujów”. Pełniąc funkcję kucharza, spełniał jednak zarazem rolę „szarej eminencji”: podsuwał tym bezkrytycznym („najpierw działanie, potem myślenie”) buntownikom do *konsumpcji* i *przetrawienia* przez siebie samego upichconą potrawkę. Przetwarzając nieco sentencję zaczerpniętą z amerykańskiego komiksu pt. *Charlie Brown*, można by powiedzieć: „Ręka, która rządzi miską, rządzi całym ruchem”.

Kuchnia rewolucji, czy kontrkultury, to miejsce swoiste: pomiędzy krytycznie oceniającym opisywaniem świata a ruchem jego zmieniania. Na dwa sposoby oderwane jest od realnego świata: formułując krytyczną ocenę rzeczywistości na użytek mniej lub bardziej utopijnej wizji tego, co być powinno,

zwalnia się z odpowiedzialności precyzyjnego i uczciwego uchwycenia tego świata takim, jakim on jest; nie posuwając się nigdy do rewolucyjnej praktyki, odmawia przyjęcia do wiadomości wniosków z nieudanych prób uczynienia świata takim, jakim – zdaniem intelektualnych guru z uniwersyteckich gabinetów – być on powinien.

Sądzę, że w przypadku pracy poświęconej Profesorowi Morawskiemu, tytuł *Primum philosophari* stanowi wyznacznik wyjątkowo celny. Jednakże prawdę o Profesorze przynieść może dopiero odpowiednia interpretacja konsekwencji tej maksymy. Maksyma ta doskonale oddaje poświęcenie Profesora działalności filozoficznej: wyjątkowy profesjonalizm, precyzja analizy, a przede wszystkim przysłowiowa wręcz, niewątpliwie unikalna dziś, znajomość niezwykle obszernej literatury. Te cechy dawno już wprowadziły Profesora Morawskiego do czołówki światowej. Ale postawienie filozofii na pierwszym miejscu przed życiem i światem ma także swój wymiar negatywny: prowadzić może do wytworzenia sobie świata filozofii, „bardziej realnego” od tego, w którym wszyscy żyjemy, oraz do odmowy akceptacji świata takiego, jakim jest, o ile tylko świat realny staje w sprzeczności z „wyższą realnością świata filozofii”.

Problem w tym, że dla kogoś, kto żyje w sztucznym świecie spekulacji filozoficznych, nie ma żadnej mocy stwierdzenie praktyka „to nie da się zrealizować” lub „to przeminęło i najpewniej nigdy już nie wróci”. W ponadrealnym świecie filozofii nie ma ani niemożliwości, ani też ostatecznej śmierci jakichś koncepcji. To właśnie w tym świecie żywe pozostaje hasło „Rewolucja – tak, wypaczenia – nie!” (kto chce, może za „rewolucję” podstawić np. „modernizm”, „estetykę piękną”, czy „Platońską naukę o ideach”). W świecie czystych możliwości żadna koncepcja nie może upaść, bo nie da jej się nigdy sfalsyfikować. Utopie są w nim równie realne, jak nasz świat. Jedno jest niewątpliwe: przygodny świat nie jest w stanie konkurować z „bezwzględnie koniecznymi” utopiami.

Znane mi są jedynie dwa wycinki obszernego dzieła Profesora: prace na temat osiemnastowiecznej estetyki europejskiej oraz niektóre prace i wypowiedzi dotyczące epoki nowożytnej, a w szczególności jej obecnej fazy. Najwyższej klasy profesjonalizm Profesora w tej pierwszej dziedzinie nigdy nie wzbudził we mnie wątpliwości co do słuszności wniosków, którymi opatrzone np. esej o estetyce Burke’a. Nie mogę jednak powiedzieć tego samego o tych pracach i wypowiedziach Profesora Morawskiego, które wpisują się w modny ostatnio „spór anty-ponowozłotników z ponowozłotnikami”. Odnoszę wrażenie, że stanowisko, które Profesor Morawski prezentuje w tych tekstach, wskazuje na to, iż czynienie użytku z maksymy *Primum philosophari* może prowadzić do rozluźnienia kontaktu z rzeczywistością.

Prace i wypowiedzi Profesora, pochodzące z ostatniej dekady, charakteryzują się doskonałą znajomością całej współczesnej „literatury postmodernistycznej” (zarówno tej wartościowej, jak i całej masy filozoficznego śmiecia,

zalewającego wciąż półki księgarskie). Profesor doskonale zna i z wyjątkową precyzją analizuje zawarte tam argumenty. Kłopot z tym, że nawet najlepsze z tych argumentów nie są w stanie „przemówić” do Profesora. Jest on doskonale „impregnowany” na ich skuteczność. Chociaż tzw. postmodernizm jest mi czymś równie obcym jak feminizm, marksizm, maoizm czy tumiwizm, to cenię niektóre elementy tego fermentu myślowego przynajmniej za to, że przyjmuje on za oczywiste niektóre (dla mnie od dawna oczywiste) spostrzeżenia filozofii osiemnastowiecznej. Robi on wreszcie właściwy użytek nie tylko z Arystotelesa i późnego Wittgensteina, ale przede wszystkim z prac Davida Hume’a, który na kilkaset lat przed Heideggerem, Wittgensteinem i postmodernizmem dokonał większości niezwykle „dekonstrukcjonistycznych” odkryć, o których potem zapomniano. Nie wiem, czy w filozofii ma miejsce jakiś postęp, czy też nie, ale sądzę, że zanim powie się, że stary, platoński ideał poszukiwania Prawdy i Piękna jest wciąż jeszcze żywy i ma się dobrze, wypadałoby uporać się choćby z argumentami Hume’a. Jeśli się te argumenty rozważy, można dojść do przekonania, że wprowadzie postmodernistyczne slogany nie mają zbyt wiele sensu, ale z mitem Postępu na drodze do Prawdy i Piękna należałoby, w imię filozofii pojętej jako opisywanie świata, się pożegnać. Nie można wciąż analizować nowych, często bardzo trafnych argumentów po to, by w końcu zupełnie bez uzasadnienia je odrzucić, bo nie pasują one do tego, co przyjmując zasadę *Primum philosophari* urobiliśmy sobie we własnych głowach. Działanie wedle zasady: „jeżeli coś nie pasuje do przyjętego przeze mnie pewnika o koniecznym trwaniu estetyki piękna etc., tym gorzej dla tego czegoś” jest dla mnie po prostu łagodną wersją zabijającej filozofowanie Marksowskiej tezy o konieczności zmieniania świata. Odmowa akceptacji pewnych nieprzyjemnych konsekwencji otaczającego nas świata jest wstępem do niebezpiecznego wyzwolenia się od ciężaru rzeczywistości, wstępem do praktyki ucieleśniania tego, co ucieleśnione zostać nie może ...

Komuś, kto poważnie uważa, że kultura znajduje się obecnie w kryzysie, tj. kto *jako filozof* używa słowa „kultura” w sensie raczej wartościującym niż opisowym, z dużą łatwością przyjdzie określanie rozmaitych koncepcji filozoficznych jako „reakcyjnych” lub „progresywnych”, a nie po prostu jako nowych form, które dołączają się do całości żywego organizmu. Z takim podejściem nie potrafię się pogodzić: gdy ktoś przypina rozmaitym koncepcjom łatkę „reakcyjnych” lub medale „progresywnych”, sięgam do kabury po długopis: jedyny rewolwer, jakim faktycznie dysponuję i z jakiego miałbym ochotę zrobić użytek.

Dlatego właśnie uczestnictwo w komunie hippies jest dla mnie w biografii Profesora symboliczne. W pewnym sensie – jako intelektualista – Profesor wciąż w niej tkwi. Tamte mity pozostały dla niego żywe i nic nie jest w stanie ich z jego filozofowania usunąć. Z tego właśnie powodu stosunek Profesora do filozofii, określanej jako ponowożytna, rodzi we mnie konfuzję. Znana jest anegdota o pewnym chłopie, który nigdy nie widział żyrafy, a gdy zobaczył to

zwierzę w ZOO, najpierw dokładnie je obejrzał, a następnie odwrócił się i powiedział: „to nie istnieje”. Odnoszę wrażenie, że ze stosunkiem Profesora do dużej części poważnych konsekwencji filozofii nowożytnej i współczesnej jest podobnie. Tyle tylko, że nie mamy tu już do czynienia z prostym chłopem, lecz z wybitnym profesorem zoologii, który po poddaniu żyrafy wszelakim testom, szczegółowym oględzinom etc., odwraca się do niej plecami i powiada dokładnie to samo, co ów chłop. Postawa taka, o dziwo, nie jest we współczesnej filozofii wcale unikalna. Przyjmując ją, Profesor staje nie tylko obok chicagowskich uczniów Leo Straussa, ale także obok najwybitniejszych heglistów naszych czasów, z Charlesem Taylorem na czele.

Dlaczego tak się dzieje? Sądzę, że podłoże może tu mieć raz jeszcze charakter kulinarny. Stanowisko Profesora wydaje mi się pokrewne postawie pewnego włoskiego marksisty, którego poznałem na stypendium w Montrealu w 1991 r. Był to zdecydowany przeciwnik wszystkiego, co amerykańskie, inżynier rolnictwa, który wyjechał do Gruzji, by pomagać w rekonstrukcji radzieckiej gospodarki i gdzie w wyniku wypadku stracił nogę. Wyjechał stamtąd bez nogi, z żoną Gruzinką, mając zamiar napisać doktorat z nauk politycznych w Montrealu. Problem z nim polegał na tym, że żadnej krytyki marksizmu nie uznawał za ostateczną. Przyjmując zarzuty zarówno z mojej strony, jak i ze strony innych studentów (Amerykanów, Kanadyjczyków, Estończyków, Niemców etc.) mawiał zawsze, że nasza krytyka nie dotyczy „prawdziwego Marksa”, którego – wedle jego słów – można odnaleźć na niektórych stronach Della Volpego i Collettiego (kto dziś jeszcze pamięta lub przyznaje się do pamiętania tych nazwisk?). Przez długi czas nie potrafiłem go „ugryźć”, aż któregoś dnia nasza dyskusja zesłała na włoskie jedzenie, a ja przyznałem się, że w Rzymie wstąpiłem kiedyś do McDonalda przy Piazza di Spagna. Oburzenie mego rozmówcy nie miało granic. Okazało się, że kapitalizm to w jego oczach paskudne, amerykańskie *jung food*, niesmaczne i konsumowane w pośpiechu. On zaś był smakoszem tradycyjnych europejskich dań spożywanych w spokoju. Włoski marksizm był dla niego przedmiotem kulinarnego uwielbienia. Tu tkwiła podstawa tego swoistego, oderwanego od realiów społecznych, moralnych, ekonomicznych etc. „materializmu” degustatora-znawcy. Z Profesorem Morawskim jest, jak sądzą podobnie. Taki sam stosunek smakosza można odczytać w jego przywiązaniu do estetyki piękna, w niechęci do „kapitalistycznego konsumpcjonizmu” etc. Ale właśnie dlatego cenię go jako analityka i historyka, najmniejszego kredytu zaufania nie przyznając jego własnym opiniom o sensie i znaczeniu tej lub innej, doskonale przez niego opisanej (lub opowiedzianej) filozoficznej lub estetycznej koncepcji. Jako historyk i znawca Profesor jest dla mnie autorytetem; jako filozof-krytyk (zwłaszcza w sensie Kanta), czy też ktoś zajmujący się oceną, czy osądem – zdecydowanie nie. Podobnie bowiem jak Hume, wolę dotykanie ręką i zdrowy rozsądek od platońskiego „oka umysłu” i obcowania z ideami. Albowiem to właśnie Hume, a nie Platon, dokonał największego filozoficznego odkrycia,

pokazując iż wielką filozofię budować można w oparciu o refleksję i obserwację „rzeczy na niebie i ziemi”, a nie tych, o których „śniło się waszym filozofom”.

Analizując dzieło Profesora Morawskiego należy precyzyjnie określić to, co stało się podstawowym przedmiotem zainteresowania Profesora: estetykę. W szczególności podkreślenia wymaga różnica pomiędzy estetyką a sztuką, czy też teorią kreacji artystycznej. Nie jest przypadkiem, że estetyka uzyskała jako dyscyplina swoje miano dopiero w połowie XVIII wieku. Nie jest to przypadkiem dlatego, że sama ta dyscyplina narodziła się dopiero w wieku XVIII! Twierdzenie, iż jej nowożytna postać jest tylko starą dyscypliną ubraną w nową szatę, jest błędem. Jako taka, ta nowa, nowożytna ze swej natury dyscyplina nie jest wcale tym samym, co teoria postrzegania tego, co piękne, albowiem, jako jedno z dzieci nowożytnego „przełomu epistemologicznego” nie jest ona w ogóle przypisana do jakiegokolwiek – materialnie określonej – kategorii przedmiotów. Nowożytna estetyka to nauka o sposobie poznawania przez nas tego, do czego *nie mamy* – w momencie percepcji – jawnego *stosunku praktycznego*. Estetyka mówi o tym, *jakim świat nam się wydaje*: o przedmiotach uznawanych za dzieła sztuki mówi, dlaczego (na czym to polega, że) wydają się być, albo nie być piękne, o pewnych ludzkich postępkach mówi, dlaczego (na czym to polega, że) wydają się być albo nie być sprawiedliwe, o pewnych naukowych kategoryzacjach lub argumentach mówi, dlaczego (na czym to polega, że) wydają się być, albo nie być racjonalne. Właściwie nie mówi ona o świecie, ale o podmiocie: konkretnie, o sposobie, w jaki to, co nazywamy światem, jawi się podmiotowi. To, jakim się ten świat w istocie jawi, nie ma dla rozważań nad tym sposobem żadnego znaczenia. To, czy świat jawi się komuś strasznym i brzydkim, czy też przyjaznym i pięknym, nie jest zagadnieniem estetycznym. Estetyka to teoria pewnych aktów umysłowych, czy też inaczej: pewnych szczególnych przejawów podmiotowości (rozumianej po kantowsku, a nie w duchu jakiejś psychologii: humanistycznej, para-humanistycznej, czy anty-humanistycznej). Jako taka, *estetyka stanowi paradygmatyczny przykład* (epistemologicznie, a nie metafizycznie zorientowanej) *filozofii rozumianej jako opisywanie* (a nie ocenianie, czy zmienianie) *świata*. Heidegger miał tutaj rację: w estetycznej percepcji sztuka powoli umiera. Ale nie należy tego dramatyzować: żaden filozof nie jest władny zadekretować śmierci sztuki. Może on co najwyżej opisać proces oddzielania się od siebie sztuki i estetyki oraz pogłębiania się procesu wzajemnej autonomii sztuki i piękna. Takie – nawet prawdziwe – konstatacje nie zabijają ani piękna ani też sztuki, a filozofia – na szczęście – niewielki ma wpływ na to, co dzieje się w *realnym świecie*.

Filozof musi zatem stać z boku i obserwować: jako filozofowi nie wolno mu wyrażać osobistych sympatii. Musi on chłodno świat opisywać i z okrutną konsekwencją godzić się nawet na najbardziej nieprzyjemne wnioski, wypływające z tego opisu. W imię filozofii do samego końca pozostać musi niezaangażowany, tj. wierny misji opisu tego, a nie jakiegoś innego, idealnego świata. Tylko tak można

pozostać wiernym maksymie *primum philosophari*, nie narażając się zarazem na pomylenie jej z kreacją artystyczną. Niech żyje filozofowanie: choćby miało ono wspólnie prowadzić do uśmiercenia wszystkich mitów i mrzonek filozofów!

Stefan Morawski
O mych perypetiach filozoficznych

To co zapisuję sprowadza się z konieczności – gdyż redakcja „Przeglądu Filozoficznego” szczerze użyczyła wypowiedziom o mej twórczości i pracy nauczycielskiej aż tyle miejsca – do kilku uwag na marginesie zebranych tu tekstów, za które najszczerzej dziękuję.

1

Moja twórczość (z premedytacją używam tak ogólnego sformułowania) składa się, z grubsza biorąc, z dwu typów prac, których, jak sądzę, nie podobna ostro od siebie odgraniczyć. Mianowicie, tych dotyczących historii idei artystycznych i estetycznych na tle historii idei filozoficznych od XVIII w. po nasze czasy, oraz dociekań teoretycznych w odniesieniu do sztuki, estetyki, w jakiejś mierze również filozofii oraz w ogóle kultury. Pierwszym zawsze towarzyszyła refleksja metahistoryczna o charakterze teoretycznym i wyraz samowiedzy metodologicznej oraz filozoficznej jak rzeczy wykładam; drugim właściwe były typologie zastanych, oczywiście odpowiednio dobieranych, koncepcji, z którymi wchodziłem w kontakt polemiczny, częściowo aprobatywny, a więc teoretyzowałem na gruncie przesianego materiału historycznego. Zetknąłem się tyleż w kraju co zagranicą z żalami wyrażanymi przez przyjaciół i życzliwych mi kolegów, że nie wyłożyłem w żadnej oddzielnej książce mych poglądów filozoficznych. Święta prawda. Ośmielam się jednak na ten zarzut odpowiadać – i odpowiedź tę teraz powtarzam – że bez uciążliwości można moje stanowisko rekonstruować i w konsekwencji tak czy inaczej interpretować sięgnąwszy np. po studia z dziejów estetyki europejskiej XVIII i XIX w. oraz po pracę o Malraux albo po moje *Inquiries into the Fundamentals of Aesthetics, Na zakręcie* oraz rozprawę o ewentualnym *Zmierzchu estetyki*. W książkach tych nie tylko demonstruję określoną *praxis* filozoficzną, ale ją również komentuję i próbuję ją uzasadnić. Kłopot z moją twórczością zasadza się zapewne na tym, że będąc adeptem filozofii marksowskiej zmieniałem stopniowo narzędzia badawcze i zasady naczelne ewoluując ku marksizmowi, który winienem określić jako mój własny (choć skądinąd niewątpliwie pokrewny określonym nurtom wewnątrz tej tradycji myślowej). Ponadto zaś od początku lat siedemdziesiątych od tego światopoglądu odchodziłem, nie zerwawszy z nim wszelako pępowiny. Kto zadał by sobie – być może nie warty świeczki – trud prześledzenia